

Rogozik, Janina Katarzyna

Mój Profesor

Rocznik Historii Prasy Polskiej 3/2(6), 306-309

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jego działalność naukowo-badawcza i organizatorska była dostrzegana przez opinię publiczną i często nagradzana. Dwukrotnie otrzymał nagrodę „Polityki” (1970, 1985 r.), Sekretarza Naukowego PAN (1978 r.), Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa im. dra Jana Zygmunta i Marii Roblów (1981 r.), dwutygodnika „Warmia i Mazury” (1984 r.), Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego (1985 r.), nagrodę im. Jana Kochanowskiego z Funduszu Kultury i Nauki (1987 r.). Najwyższym uhonorowaniem Jego wszechstronnej działalności na niwie naukowej był wybór 25 czerwca 1994 r. na członka korespondenta reaktywowanej w Krakowie Polskiej Akademii Umiejętności, a także wyróżnienie Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta (1993 r.).

Zmarł nieoczekiwanie dla wszystkich, którzy z Nim współpracowali, 22 listopada 1999 r. Jego nagłe odejście zbyt boleśnie odczuło wiele towarzystw, wiele redakcji wydawnictw, w tym również redakcja „Rocznika Historii Prasy Polskiej”. Był zbyt skromnym człowiekiem, by mógł powiedzieć o sobie słowami Horacego: non omnis moriar. Ale tylko w ten lakoniczny sposób mógłby podsumować swoje twórcze życie.

Janina Katarzyna
ROGOZIK

Mój Profesor

Nigdy nie znałam człowieka, który łączyłby w sobie tyle mądrości i dobroci z takim osobistym urokiem. Dobry los sprawił mi wspaniały prezent — to, że mogłam pisać mój ulubiony doktorat pod Jego, profesora Wiesława Bieńkowskiego, kierunkiem.

Z początkiem stycznia pisałam list do mojego zmarłego Promotora, gdy zadzwonił do mnie pan dr Sylwester Dziki i zaproponował, bym napisała o nim wspomnienie.

Więc niech najpierw będzie ten list:

„Wielce szanowny i kochany Panie Profesorze — Niebo.

Jest już 2000 rok, za oknem śnieg i mróz, strzelają jeszcze petardy z sylwestrowych zapasów. Piszę list do Pana, do Nieba i przepraszam, jeśli przypominam w tym dziecko piszące do świętego Mikołaja. Chciałabym, żeby Pan nie martwił się, że nie doprowadził mnie do samego

Finału. Stamtąd na pewno lepiej widać, także sens tego, co się stało. A ja tu wezmę pod uwagę Pana Profesora ostatnie wskazówki i będę pamiętała, że obrona pracy doktorskiej to przede wszystkim: olimpijski spokój, zwięzłość wypowiedzi, dobra dykcja i oddech, brak jakiegokolwiek zapalczowości, no i wzgląd na to, że tylko dla doktoranta jest to «zyciowy spektakl», więc Wysokiej Komisji i Szanownym Zgromadzonym należy oszczędzić dogłębnego roztrząsania zyciowych i twórczych dylematów Mego Ulubionego Bohatera.

Panie Profesorze, pragnę z całych sił, żeby Pan Profesor był ze mną w sali nr 42, kiedy nadejdzie ten dzień.

Katarzyna”.

Dziś jest już po obronie i mogę powiedzieć, że było dobrze. Był jakiś niezwykły, poważny nastrój na sali, jakby Pan Profesor Bieńkowski był obecny nie tylko na maleńkim, przyniesionym przeze mnie, portreciku. Był chyba w myślach każdego z obecnych, pozostając najważniejszą, najbardziej „wyczuwalną” Osobą.

Później, na skromnym bankiecie w „Convivum” zebrało się przy lampce wina grono Jego uczniów i przyjaciół. Mało było jednak śmiechu i żartów. I zapewne postanowił Pan Profesor (jako osoba od dzieciństwa rozsmakowana w płataniu swym przyjaciołom figli) nastrój ten ożywić. A że w poważnym dziele o Nim (*Studia bibliograficzno-bibliologiczne. Praca zbiorowa dla uczczenia 45-lecia pracy naukowej profesora dra hab. Wiesława Bieńkowskiego — Kraków 1996*) napisano m.in.: „[...] o Jego obecności aktualnej bądź też niedawnej, domyślić się można i stąd, że rozsnuwa się w powietrzu sympatyczna fajkowa aura, niby indywidualna troposfera [...]”¹, zatem Pan Profesor, upatrzywszy sobie za cel swej psoty nos ulubionego i przyjacielskim stażem najstarszego z obecnych kolegi, czyli pana dra Sylwestra Dzikiego „rozsnuł” przed nim raz, drugi i trzeci tę swoją miłą (i w literaturze po kilkakroć opisaną) fajkową aurę. Bo zapewne i tam — w kularach Niebieskiego Archiwum — Pan Profesor dyskretnie swoją fajkę pali...

Kiedy wspominam Pana Profesora, widzę Go najpierw w Międzywydziałowym Zakładzie Historii i Kultury Żydów w Polsce UJ, gdzie w dniu 13 marca 1990 r. jako rzeczoznawca, wziął udział w naradzie roboczej w kwestii przyjęcia schematu bibliografii judaików wydanych w języku polskim w l. 1945–1985. Zgromadziłam już wtedy pokaźny pakiet materiałów do dziejów „Naszego Przeglądu” i poszukiwałam

¹ Zob.: A. Borkowski, *Civis cracoviensis*, [w:] *Studia* [...], *Ibidem*, s. 9.

mistrza, u którego mogłam terminować. W konsekwencji tego pierwszego spotkania, w każdy trzeci czwartek miesiąca, w dobranym gronie, zasiadałam do seminaryjnych dysput. Była kawa i pyszne ciasteczka. Było jednocześnie poważnie, twórczo i bardzo miło. Widziałam Profesora słuchającego z wielką uwagą referatów swych uczniów. A gdy mowa referującego przebrzmiała już w powietrzu, a żadne z nas nie miało już nic do powiedzenia na dany temat, On zabierał głos. Zawsze zdumiewała mnie Jego genialna umiejętność dokonywania syntezy, owa łatwość, z jaką poruszał się w świecie idei, prądów, kierunków, które wiodły ludzkość przez jej dzieje. Temat referatu rozświetlał się jakby przed słuchającymi, ukazany w jego różnych złożonościach.

Widziałam mojego Profesora gawędzącego w trakcie naszych łańcuckich kolacji, opisywanych w pracy zbiorowej pt. *Wszechświat zwany Biblioteką, czyli Łańcuckie peregrynacje z Mistrzem* (Kraków 1999).

„Noc nie może być zbyt krótka” — zwykł mawiać wówczas Profesor. I rzeczywiście — majowa noc (bo peregrynacje były majowe) długo nie zapadała... Lecz charyzma naszego Mistrza sprawiała, że przy tyłu przecież właściwie zastosowanych i znakomitych łańcuckich trunckach uczniowie Jego nie obniżali lotu swych myśli, a niektórym nawet wyrastały skrzydła.

Tam, w Łańcucie, podążaliśmy za Profesorem jak grupka radosnych chasydów² za swym Cadykiem. Łańcut... Ale jeżeli Łańcut, to przecież także Leżajsk, Przeworsk, Przemyśl, Dębnik, Jarosław, Sieniewa, Rzeszów.

Widziałam Profesora w czasie obrony prac doktorskich moich koleżanek. Prezentował Ich sylwetki twórcze z taką czułością i dumą w głosie i spojrzeniu, jaką obserwować można chyba tylko u Ojca, oddającego właśnie swą jedyną córkę pod opiekę oblubieńca. Widziałam jak pięknie, niemal dziecinnie, umiał się cieszyć — publikacjami swych uczniów, czy małym, świątecznym prezentem.

Ale najbardziej cieszył się Pan Profesor tym, czego doświadczył 17 czerwca 1999 r. Po porannej Mszy Św. odprawionej w Katedrze Wawelskiej, delegacja Polskiej Akademii Umiejętności wręczyła Papieżowi Janowi Pawłowi II dyplom, powołujący Jego Świątobliwość na Członka Honorowego tej instytucji. Wśród wręczających (na pół ży-

² Mniemam, że żaden z mych świątłych kolegów nie poczuje się urażony tym porównaniem.

wych z wyczerpania, ale bardzo szczęśliwych) znalazł się Pan Profesor Bieńkowski. W kilka godzin później spotkał się z nami jak zwykle, na czwartkowym seminarium, gdzie dzielił się niezwykłymi doznaniem płynącymi z bliskości osoby Jana Pawła II. Mówił nam, że była to chwila pełna niezwykłego piękna, najszcześniejsza.

To czerwcowe seminarium przy Sławkowkiej 17 było ostatnim naukowym spotkaniem z naszym Mistrzem.

I chociaż od 22 listopada 1999 roku minęło już sporo czasu, to nie jestem zupełnie pewna tego, że nie czekam na telefon od Profesora Bieńkowskiego...